



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Daktyl cimaroński (*Jucca brevifolia*).

DRZEWA KALIFORNIJSKIE.

Jeżeli w ogóle roślinność krajów gorących różni się od flory, która zdobi strefy umiarkowane, to Kalifornia przedstawia pod tym względem dużo ciekawych wyjątków, mimo wielkiego ubóstwa w zieleni, czego przyczynę szukać należy w braku wilgoci przy długotrwałych upałach. Mianowicie w Kaliforni niższej, która tworzy wąski pas półwyspu, deszcze bywają taką rzadkością, że na suchym, spieczonym gruncie, utrzymać się mogą jedynie rośliny, które przyroda odpo-

wiednio uposażyła, by dłuższe okresy suszy bezpiecznie przetrzymać mogły.

Nie liczne też są tu okazy drzew liściastych, a i te tracą w porze letniej swe liście, tak, że na smutnym i martwym na pozór tle okolicy, mile odbijają zielonością bogate odmiany kaktusów, zdolnych przetrwać dłuższy czas bez deszczu, mając w grubych swych mięsistych pniach bogaty zasób wilgoci. Niektóre odmiany kaktusów bywają też prawdziwym dobrodziejstwem dla krajowców. Do takich należy ciekawy okaz *Wisnagi*, należącej do Echinokaktusów, której bezlistny, mięsisty pień, pokryty twardą skórą z haczykowatymi

kolcami, dochodzący do 2-ch metrów wysokości, daje doskonałe pożywienie dla bydła. Inne znowu odmiany kaktusów np. tak zwane *Cereusy* rodzą smaczne, słodkie lub kwaskowate owoce, jadane przez mieszkańców już to zupełnie świeże, już w konfiturze lub suszone jak śliwki. Znane figi beryjskie sprzedawane na południu, są właśnie owocami *Cereusów*.

Oryginalny swą zewnętrzną jako i wewnętrzną budową jest należący również do nich *Cardon*, który kształtem przypomina świecznik o kilku ramionach. *Cardony* dorastając 18 metrów, z daleka już bywają widziane, niby nasze włoskie topole. Pnie i gałęzie tych roślin mają w środku rdzeń bardzo szeroki, który z czasem niszczeje, przez co tworzy się pusta, znacznej grubości dochodząca rura, o ścianach twardej i drzewiastych, która przedstawia wiele odporności i trwałości; przeto *Cardon* używany bywa jako materiał budulcowy i opałowy.

Właściwymi wszakże i jedynymi prawie drzewami kalifornijskimi są *Juki* należące do działu jednoliściennych, a ponieważ wysokim swym pnem, zdobnym tylko najczęściej w wierzchołku koroną lancetowatych, twardych liści, przypominają nieco palmy, przeto nazwano je „palmami pustyni.” Niektóre przeciw odmiany *juki*, a mianowicie przedstawiony na rycinie „*Daktyl cyramański*”, rozrastają się szeroko, pod wpływem dobroczynnej wilgoci nad brzegami oceanu Spokojnego, skąd też prawdopodobnie okaz nasz, jako wyjątek, pochodzić musi. Bogate we włókna liście, próbowano użytkować w przemyśle na wyrób papki papierowej, soki zaś pnia, zawierające znaczną ilość saponiny, mogą służyć do wyrobu mydła, podczas gdy jego części stałe, mianowicie u drzew młodych, odpowiednio przysposobione, posiadając sprężystość włosia, użytkowane bywają na materace.

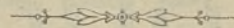
Ciekawe ze wszech miar *fukiery*, których ojczyzną jest również Kalifornia, mają pień pokryty wyniosłą, gładką, wojskową korą, lecz pozbawiony najczęściej gałęzi i ubogi nawet w liście. Pnie takie zwane podobnie jak u palm kłodzinami, chronią roślinę od zbyt szybkiego pozbycia się wilgoci przez łatwe parowanie, dla której to również przyczyny, wytwarza się w ogóle u roślin, w tych warunkach zostających, takie nadzwyczajne ubóstwo liści.

Rosnąca w Kalifornii „*Idrya columnaris*” przez Hiszpanów *Cirio* czyli świecą nazwana, jest jednym z najdziwniejszych przedstawicieli świata roślinnego. Łodyga czyli pień *Cirii* wznosi się w górę, jak kolumna, nie rozdwarzając się w ramiona. Wyrastające na jej powierzchni przeciwległe liście, opadają stopniowo i pozostaje tylko u samego wierzchołka dość skąpa korona, w której rozwija się kwiat, w kształcie kity, o barwie żółtawo-słomkowej. Ta oryginalność kształtu, którą podziwiać możemy na rycinie drugiej, przypominająca płonącą świecę, tłumaczy nazwę rośliny.

Pień cały pokrywa rodzaj kory, niby połyskująca skóra pargaminowa, pod którą znajduje się na 1 centymetr gruba warstwa komórek stwardniałych prawie jak kość, przeszkadzających również parowaniu soków i podtrzymujących całą roślinę w pionowym kierunku. Z zewnętrznego miękkiego rdzenia *Cirii*, próbowano robić papkę papierową, kosztą jednak przewożenia materiału surowego, okazały się zbyt wielkie.

Ogólnie biorąc, *fukiery*, z których *Ciria* jest czwartym,

znanym przedstawicielem, rosące wyłącznie prawie w Kalifornii, nie dość jeszcze zbadane przez botaników, nie mają też w klasyfikacji roślin ściśle oznaczonego dotychczas miejsca.



W STAROŻYTNYM RZYMIE.

Ubiory.

Dorośli Rzymianie ubierali się zawsze w dwie tuniki sięgające kolan, bez rękawów, u szyi wycięte; później niektórzy modnie zaczęli wkładać trzecią tunikę z rękawami, dłuższą, lecz ogół uważał to za zniewieściałość i zbytek. Tuniki bywały wełniane, lniane, bogaci używali jedwabnych lub też pół jedwabnych.

Gdyby dzisiejsi czytelnicy *Wieczorów*, żyli za czasów cesarza Augusta nosiliby białe tuniki obramowane purpurą, był to bowiem zwykły strój chłopców i dziewcząt. Gdy zaś dziewczynka dorosła, zaczynała nosić strój kobiet rzymskich, długą *stolę* z rękawami. Rzymianie wychodząc z domu zakładali togę zawsze białą, *toga* to narodowy strój rzymski, rodzaj płaszcza bez rękawów narzuconego w ten sposób, że odkrywał prawe ramię, lewe zaś nikięło pod jego fałdami. Kobiety nosiły także płaszcze zwane *palla*. Po tunice można też było czasem rozpoznać godność odzianej w nią osoby. Tuniki senatorów zdobiły u dołu szeroki lampas różnej barwy, głównie purpurowy. Rycerzom obszywano tuniki wazkim szlakiem. Na nogach noszono bądź to sandały, bądź to trzewiki skórzane. Głowy pokrywano kapeluszami tylko w razie niepogody. Poza tem, Rzymianie chodzili zawsze z odkrytymi głowami; włosy i brody przyszczygali dopiero za czasów cesarstwa; wtedy zaczął też panować wielki zbytek w ubiorach; kobiety i mężczyźni używali drogich pachnidel; zlewali niemi włosy i ubranie, zaczęli też nosić pierścienie, bransolety z różnych metali, przeważnie ze złota, nasadzane drogiemi kamieniami. Rzymianki farbowały sobie włosy i układały je w najrozmaitszy sposób. Ludzie poważnie myślący nieraz narzekali na zbyt koczownicze stroje Rzymianek, które przywdziewały najchętniej udając się na igrzyska cyrkowe lub też doroczną uroczystość „*Palilii*” czyli święta na pamiątkę założenia Rzymu. *Palilie* miały miejsce na wiosnę. Już wczesnym rankiem rozbrzmiewały w mieście trąby i fletnie, przy których dźwiękach tłumy mieszkańców szły do świątyni bogini *Westy*.

Po oddaniu czci należnej *Bogom*, tłum kierował się w stronę cyrku, gdzie trzydziestu sześciu młodzieńców na koniach, na trzy grupy podzieleni, udaną tą walką zbierali oklaski lub nagany widzów. Ta udana walka miała być pomysłem *Askania*, syna *Eneasza*; jak wiadomo zaś, *Eneas* pierwszy założył państwo z którego później Rzym powstał, to też podczas *Palilii*, grę tę zawsze wznawiano, na pamiątkę starożytnego pochodzenia dumnych Rzymian, że zaś *Eneas* z *Troi* pochodził, z owej *Troi* po długiej wojnie przez *Greków* zniszczonej, więc na jego pamiątkę, doroczną walkę cyrkową nazwano „*igrzyska trojańskie*.”

Oprócz świąt *Palilii*, Rzym obchodził wiele innych świąt na cześć różnych *Bogów*, naprzykład *Marsa*, bożka wojny, *Saturna*, bożka czasu, lub też na pamiątkę jakiego sławnego zwycięstwa czy klęski. Były też święta niestałe, ale wszystkie prawie obchodzono igrzyskami, a te nieraz trwały po kilka dni, tak naprzykład igrzyska podczas świąt *Minerwy* trwały cały tydzień czyli ośm dni. Rzymski tydzień bowiem, nie siedm lecz ośm dni obejmował. Miary czasu różniły się też bardzo od naszych. Rok miał najprzód tylko dziesięć miesięcy a dni trzysta cztery. Później rozdzielono rok na miesiące dwanaście, dni zaś trzysta pięćdziesiąt pięć; zatem o ca-

te dziesięć dni trwał krócej od naszego roku czyli tego przeciągu czasu, którego potrzebuje ziemia na całkowity jeden bieg około słońca. Rzymianie w szczególności też sposób datowali swoje pisma, i tak: jeśli ktoś pisał list, przypuścmy piętnastego lipca wtedy umieszczał datę: „na piętnaście dni przed pierwszym sierpniem;” jednym słowem dawali datę wstecz. Dobę znów dzielili na godzin dziesięć, które były dłuższe lub krótsze stosownie do pory roku.

A czemuż czas mierzyli!

Służyły im do tego specjalne przyrządy. Były to naczynia napełnione piaskiem z małym otworkiem u dołu przez który stale wysypywał się piasek lecz tylko po ziarnku, tak, że mogło sporo czasu upłynąć zanim wszystkie ziarenka wyleciały. Takie naczynia nazywały się klepsydrami; miały wielkość rozmaite a tak wymierzoną by piasek wysypał się z nich w ciągu jednej, dwóch, lub trzech godzin. Najczęściej klepsydry składały się z dwóch baniek razem złączonych, a między niemi znajdował się ów mały otworek. Gdy piasek z górnej banki przeleciał do dolnej, wtedy odwracano klepsydrę i znów cały piasek znajdował się w wierzchniej części. Zamiast piasku używano też wody, która ściekała drobnymi kroplami. Lecz najprawdopodobniej były i są zegary słoneczne, czyli kompas, które mają tylko tę jedną wadę, że gdy słońce nie świeci, wtedy i one tracą wszelką wartość.

Rzymianie znali już kompas i według nich regulowali swoje klepsydry.

Dotąd mówiliśmy tutaj o Rzymie pogańskim, lecz obok niego istniał jeszcze Rzym starożytny chrześcijański z którego dziejów czerpać możemy pełną ręką przykłady cnót wielkich i niespożytych. To też w przyszłości postaramy się wy dobyć z tych dziejów kilka cennych pereł, kilka opowiadań osnutych na tle życia świątobliwych ludzi w pierwszych czasach chrześcijaństwa żyjących.

—~~~~—
Maryja Łopuszańska.

W WIEJSKIEJ ZAGRODZIE.

(Dalszy ciąg).

W parę dni potem, Janek korzystając z zaprosin Andrzeja, przyjechał do Hordijowic. Przez ten cały czas rozmawiali wciąż oboje z Basią o tych odwiedzinach i chłopak przytem myślał wiele nad swoim zamiarem pogodzenia obu zwaśnionych stron, a zastanawiając się nad wszystkim przyszedł do przekonania, że wina musi być po ich stronie. Myśl ta sprawiła, że gdy przybył do Hordijowic, czuł się jakoś dziwnie onieśmielonym i doznawał wątpliwości czy dobrze zostanie przyjętym. To też podjechawszy do bramy, zatrzymał się jakby w niepewności, ale Andrzej, który go spostrzegł z daleka, wyszedł naprzeciwko niego i powitał serdecznie.

— Panie Andrzeju — ozwał się Janek — nieśmiało, czy ja nie jestem natrętnym gościem?

— Ależ nie, mój drogi chłopcze, — rzekł Andrzej — ściskając go i prowadząc do ganku, jesteś, owszem, dla mnie bardzo miłym gościem, bo od pierwszego wejrzenia cię polubiłem...

— Czy tak? — zawołał. Jakże się cieszę!

To mówiąc, rzucił mu się na szyję.

— Nie masz waszmość pojęcia jak jestem szczęśliwy żeśmy się z sobą zbliżyli — rzekł Janek, gdy się znaleźli w pokoju. — Nie uwierzysz jak mię bolały zawsze te niezgody, jakie dzieliły waszą rodzinę od naszej, bo jeszcze dawniej widywałem cię zdaleka, panie Andrzeju i czułem się ku tobie pocią-

gniętym, choć się tego pewnie nie domyślałem nawet. Nieraz mówiłem sobie: Jeszcze nigdy nie widział nikogo, kogobym tak pragnął mieć za przyjaciela i trzebaż nieszczęścia, że od niego właśnie oddziela mnie długoletnia niezgoda rodzinna. Bardzo często rozmawialiśmy o tem z Basią...

— Jaką Basią? — spytał Andrzej.

— Z moją siostrą. Ona mi dodawała teraz odwagi, kiedy się bałem odwiedzić cię panie Andrzeju, bo mi się zdało, że i na mnie się gniewasz, tak samo, jak na ojca...

— Żleś mię osądził, mój Janku — odrzekł Andrzej poważnie. Na ciebie nie mam zaco się gniewać, bo tyś nic tu nie zawinił. I bałż pewny, że gdybym się poczuwał do jakiejkolwiek winy z mej strony, pierwszybym wyciągnął rękę do twego ojca, lecz, że tak nie jest, więc lepiej przestańmy już mówić o tem, gdyż podobna rozmowa może tylko nam obu przykrość zrobić. Jeśli chcesz zobaczyć konie, to pójdźmy na łąkę; mamy bardzo piękne stado.

I wzięwszy pod rękę zmieszanego i zasmuczonego chłopca, pociągnął go za sobą na łąkę leśną, gdzie się pasło stado pięknych koni po większej części krwi tatarskiej, która była w owych czasach bardzo ceniona.

Jankowi oczy zabłyśły na ten widok, bo lubił konie niezmiernie; i wkrótce zapomniał o wszystkim, podziwiając pięknych wierzchowców. Wieczorem Andrzej przeprowadził chłopca aż do granicy gdzie się zaczynały ziemie pana Halczyńskiego, poczem pożegnali się jak dwaj przyjaciele.

Od tej pory Janek od czasu do czasu odwiedzał swego nowego przyjaciela, który stał się dla niego niebawem jakimś wzorem niedoścignionym, gdy chciał kogoś pochwalić; porównywał go z panem Andrzejem. Przed Basią wynętrzał się zwykle ze swojego dlań uwielbienia, a gdy ta wyraziła jakiegokolwiek powątpiewanie co do przymiotów Andrzeja, gniewał się na nią za to okropnie, bo nie dopuszczał najmniejszej wątpliwości na tym punkcie. Za powrotem pana Halczyńskiego żona opowiedziała mu całą przygodę z rozbójnikami, mówiąc, komu zawdzięczają ratunek; zachmurzył się, usłyszawszy to i rzekł:

— Wolalbym, żeby kto inny przyszedł wam z pomocą.

Skoro zaś usłyszał, że Janek był u Andrzeja, zachmurzył się jeszcze bardziej ale nie zganił tego, tylko powiedział:

— Żałuję, że się tak stało, ale cóż robić? Co do mnie, moja noga nigdy tam nie postanie, zanadto mię ten stary Żarnecki upokarzał swoją wyższością, abym to teraz darował jego synowi.

— Ale przecież ten syn nic nam złego nie zrobił — ozwała się pani Halczyńska przeciwnie oddał nam tak wielką usługę...

To też dlatego zaprzestanę względem niego wszelkich nieprzyjaznych kroków i pretensyi, ale ręki mu nie podam, jakiem Halczyński!

— Meżu — ozwała się jeszcze raz pani Halczyńska głosem proszącym.

— Tatusiu — zawołał Janek ze swojej strony, niech tatus pogodzi się z panem Andrzejem, on taki dobry, ja go tak kocham!

— Masz tobie, znalazł się drugi obrońca! Widzę, że nastały już czasy, kiedy jaja będą mędrsze od kur! Ale w takich rzeczach nie zwykłem radzić się niewiast i dzieci a co raz postanowiłem, tego nie zmieniam, wiedźcie o tem.

Na tem się skończyła dzisiejsza rozmowa, ale Janek postanowił sobie, że nie da za wygranę i że ojciec musi kiedyś zawrzeć zgodę z panem Andrzejem.

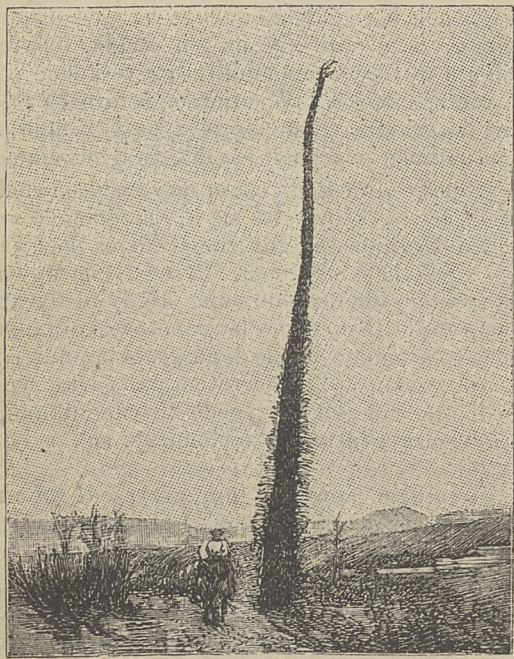
VI.

W środku lata przyszła wiadomość, że do Byrnowy, małej wieściny, położonej po drugiej stronie Dniestru, Tatarzy przypędzili stado koni na sprzedaż. Na wieść tę szlachta okoliczna wybierała się w podróż za Dniestr, w celu zapotrzenia się w świeże konie i Andrzej postanowił także tam pojechać, bo zaciekawiały go owe strony nieznanne. Podróż

ta nie była wcale bezpieczną, tak z powodu szajek zbójcekich kryjących się po jarach, jak i z powodu Tatarów, którzy jakkolwiek obecnie, nie rozpuszczali już jak dawniej zagonów, jednakże drobnymi napadami trudnili się zawsze. Andrzej więc zabrał z sobą kilkunastu ludzi dobrze uzbrojonych, między innymi i Semenka, któremu się aż oczy śmiały do podobnych wypraw.

Przybyli szczęśliwie do Byrnowy, gdzie na otwartym placu w pośrodku miasteczka, rozłożyli się koniuchowie tatarscy ze swoim towarem. Konie były jeszcze zupełnie nie ujeżdżone i chcąc którego wziąć, trzeba go było chwycić na arkan, ale posiadały wszelkie zalety tej rasy i Tatarzy zapewniali, że sam Koszowy bierze u nich konie dla swego wojska.

Andrzej, wybrawszy parę, nie zostawał dłużej w wędznej mieścinie, która nic ciekawego nie przedstawiała, i wieczorem znalazł się znów nad Dniestrem, u przeprawy.



Cirio (*Idria columnaris*).

Na niebie świeciła właśnie pełnia i Dniestr w blasku księżycy płynął, jak rzeka z roztopionego srebra, a skały nadbrzeżne wydawały się stokroć większe i wspanialsze. Kiedy jednak zjechano na brzeg, okazało się, że przewoźników nie było, śnać oddalili się do pobliskiej wsi. Jakaś gromada ludzi, widocznie wcześniej przybyła, stała na wybrzeżu, wołając: Prom! prom! ale tylko echa skał odpowiadały na to wołanie. Andrzej spostrzegł wkrótce, że gromada owa otacza kolaskę w której siedzą jakieś niewiasty. Ale zaledwie podszedł trochę bliżej, kiedy usłyszał nagle okrzyk radości i Janek rzucił mu się na szyję.

— Mamo, Basiu — począł wołać natychmiast — to pan Andrzej!

I gwałtem prawie pociągnął ku kolasce Andrzeja, który zmieszany nieco tem wszystkim, uklonił się siedzącym w głębi, niemłodej niewieście oraz jasnowłosej panience, uderzającą podobnej do Janka.

— Cieszę się, że przy tej sposobności mogę podziękować waćpanu za pomoc jakiejś nam udzielił w ciężkiej chwili — rzekła pani Halczyńska, wyciągając ku niemu rękę. I do dała, wskazując na Janka i Basię:

— Za te oto moje, dziękuję waszmości z głębi macierzyńskiego serca.

Te słowa, wypowiedziane głosem wzruszonym, odrazu przełamały lody; Andrzej pocałował rękę pani Halczyńskiej, mówiąc:

— Nie jest to tak wielką zasługą z mej strony, bo powinniśmy jedni drugim w nieszczęściu przyjść z pomocą.

— Z waćpana strony było to wielką zasługą — rzekła pani Halczyńska, bo narażałeś się dla ludzi od których zawsze doznawałeś tylko złego...

— Mościa pani, lepiej — nie mówmy o tem...

— Owszem, chcę żebyś waćpan wierzył jak szczerze boleję nad tem, co się dotąd działo i ile mię to leż kosztowało — mówiła pani Halczyńska, która i teraz miała łzy w oczach.

— Wierzyłem temu i bez świadectwa waćpani, czego dowodem jest, że waćpani syna pokochał, jak brata — odrzekł Andrzej.

Basia, która przez cały czas ten milczała, spuściwszy oczy w ziemię, zwyczajem ówczesnym panienek, teraz spojrzała na mówiącego z wdzięcznością.

— Janek opowiadał nam jak waćpan był dla niego dobrym — ozwała się pani Halczyńska — i za to także chciałam waćpanu podziękować.

— Widzę, że onym podziękowaniom końca nie będzie — odrzekł Andrzej z uśmiechem, chyba waćpani chcesz mię naprawdę zawstydzić.

Tymczasem przewoźnicy nie pokazywali się, a prom stał u przeciwnego brzegu, tak, że dostać się do niego było niepodobieństwem. Andrzej posłał Semenka do wsi, żeby tam poszukał przewoźników, a sam znów stanąwszy przy kolasce, rozmawiał dalej z panią Halczyńską.

— Widzę, że mój Semen wraca z niczem — ozwał się po chwili, spojrzawszy na drogę od wsi.

Wistocie Semenka nie mógł znaleźć przewoźników, którzy byli po drugiej stronie Dniestru. Od wody tymczasem począł ciągnąć chłód i noc stawała się coraz chłodniejszą. Andrzej kazał Semenkowi nazbierać suchych gałęzi i rozpuścić ognisko, poczem prosił panią Halczyńską i Basię by usiadły przy ogniu i ogrzały się. Janek był niezmiernie ucieszony całą tą przygodą i bardzo był rad, że przewoźników nie można było znaleźć.

Konie rozkieszuan: puszczone na paszę, ale ludzie wciąż zachowywali czujność bo w tych stronach można się było spodziewać zawsze jakiejś napaści, zwłaszcza w nocy. Już księżyc począł się zniżać nad skały, które rzucały teraz długie cienie na wodę, kiedy na drodze od stepu rozległ się tentent kilkunastu koni. Tentent ten wciąż się przybliżał, ale ludzi jeszcze nie było widać z poza skał nadbrzeżnych.

— Mój Boże — ozwała się pani Halczyńska niespokojnie, byle niejacy źli ludzie!

— Nie obawiaj się waćpani jest nas tu dość, dzięki Bogu, by odeprzeć napad stepowych rabusiów — odrzekł Andrzej, a obróciwszy się do swoich ludzi, zawołał półgłosem: — Chłopcy na konie i broń w pogotowiu, a sprawiać się cicho!

— Weź waszmość pod swoje rozkazy i naszych ludzi — rzekła pani Halczyńska, nikt z nas bowiem nie potrafi, nimi zarządzić w podobnej chwili.

Wreszcie postacie jeźdźców wynurzyły z poza skał, a ujrzwawszy ogień, prosto zmierzali ku niemu. Księżyc jeszcze świecił jasno, więc Andrzej mógł się im dobrze przypatrzeć wkrótce też z piersi jego wydarł się okrzyk:

— To Szulak!

Ten ostatni także widocznie poznał Andrzeja bo zostawwszy swoich ludzi w tyle podjechał ku niemu

— Dobry wieczór — zawołał zbliżając się i zdejmując czapkę. A ot my się znów spotkali. A co to tam za kolaska i niewiasty? dodał, spoglądając na strwożone kobiety które się skryły w głębi pojazdu. Czy to może matka i siostra waszmości.

— Nie, ale się niemi opiekuję w drodze i kto im zechce krzywdę wyrządzić, ten ze mną będzie miał do czynienia — odrzekł Andrzej, patrząc na watażkę wzrokiem nieustraszonym. Ten roześmiał się tylko głośno, swoim zwyczajem.

— Waszmość masz bardzo śmiałą naturę, dobrze tylko



Le Fendeur d'Arabes
1883

Kon arabesk.

SPINKS LODOWY,

przez

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg)

Spojrzałem na Petersa. Oparty o maszt, z głową pochyloną, z bolesnem wykrzywieniem twarzy, czynił przykre wrażenie, a gdy wzrok jego spotkał się z moim, wyczytałem w nim taki jakiś gniew i prośbę zarazem, że zdrząłem mimowoli. I nie wiem, jaką siłą powodowany, postanowiłem raz jeszcze wystąpić sam przeciw wszystkim, użyć wszelkich słów, wszelkich sposobów, by uciszyć i do uległości nakłonić tych ludzi.

— Towarzysze — rzekłem — ostatnia nadzieja nie jest jeszcze straconą! Ziemia nie może już teraz być daleko! Toż nie mamy przed sobą lodowego wału, tworzącego się zwykle na pełnem morzu, ale góry lodowe, które jedynie w pobliżu lądu powstawać mogą. Poza niemi więc znajdziemy niezawodnie ową ziemię, od której brzegów oderwały się te lodowce. Jeszcze jedna, dwie doby najdłużej, a przyrzekam wam, że jeśli i wtenczas nie ujrzymy lądu, kapitan każe nawrócić!...

Nieobecność Hearn'a sprzyjała bronionej przezemnie sprawie, a wierny mi bosman nie omieszkał poprzeć słów moich, gdy tonem dobrego humoru zawołał:

— Słowo uczciwego marynarza, dobrze powiedziane! I co do mnie, zgadzam się zupełnie z panem Jeorling; bo przecież jasnem jest, iż ziemia nie może już być daleko. Cóż nam zresztą znaczy jeden stopień dalej, gdy do kieszeni wpłynie nam za to paręset dolarów? A niech mnie foki pożrą, jeśli kłamię, że miło jest zagarnąć złoto, gdy się na nie uczciwie zapracowało; jak również przyjemnem jest, gdy można je potem wydawać!

— Tak, tak — potwierdził murzyn Endirot — dolary są piękne, przepadam za dolarami; — i roześmiał się szczerze, ukazując dwa rzędy białych, lśniących zębów.

— Czy załoga ulegnie takim argumentom, czy też będzie w dalszym ciągu stawiała opór? jakie zdanie wreszcie okaże sam kapitan? — pytałem się niespokojny.

Tymczasem Len Guy ujął znowu swą perspektywę i skierowawszy ją ku płynącym masom, badał je czas jakiś z natężoną uwagą, poczem stanowczym głosem zawołał.

— Kierować na południo-zachód!...

Chwilę jedną marynarze zdawali się jeszcze namyślać, powoli jednak każdy stanął na wyznaczonem sobie przez porucznika miejscu do pracy, około odpowiedniego nastawienia żagli.

Gdy wszystko zostało ukończone, ująłem bosmana za ramię i odprowadzając nieznacznie na bok, rzekłem:

— Dziękuję ci, Hurliguerly!...

— A no, udało nam się jeszcze tym razem! — odrzekł, kiwając głową — niebezpiecznem wszakże byłoby raz wtóry rzucać się tak przeciw fali, bo wówczas wszyscy będą przeciw nam, a pan wie, co to znaczy.

— Ależ ja przedstawiłem jedynie rzeczy prawdopodobne — odrzekłem.

— Nie przeczę temu, panie Jeorling, tak być rzeczywiście może, a jednak...

— Wierz mi, Hurliguerly, jestem mocno przekonany, iż niebawem za temi lodowcami ujrzymy obszerny ląd...

— Możliwe, możliwe, panie Jeorling! Niechże więc ten ląd ukaże się nie dalej, jak za dwa dni, gdyż już wtenczas nie tamtych powstrzymać nie zdoła!...

żeś na mnie natrafił a nie na innego, coby nie poczuwał się do żadnych obowiązków względem ciebie — odrzekł trochę drwiąco, bo szkoda byłoby takiego młodego, dzielnego kawalera. A te niewiasty także niech Bogu dziękują, że się znajdują pod twoją opieką...

— Ja także ufam w Bogu, że pod moją opieką nic im się złego nie stanie, a waść, panie Szulaku, nie potrzebujesz się nademną litować, bo nie tak dawno jeszcze dałem radę jednemu z waszych watażków — odrzekł Andrzej, zniecierpliwiony tonem rozbójnika.

— A, słyszałem żeś poturbował trochę mołojców Szpaka, ale poczekaj, oni tobie tego nie zapomną, ja ci to naprzód mówię.

— Niech przychodzą, znajdzie się coś na ich przyjęcie — odrzekł Andrzej.

— Ano, ja tam nad nimi płakać nie będę, tylko cię po przyjacielsku uprzedziłem żebyś przygotował się do ich odwiedzin. A teraz między nami rachunek skończony i możemy się pożegnać.

To mówiąc, zdjął znów czapkę, skłonił się Andrzejowi, potem w stronę kolaski pospieszył i zaciąwszy konia, oddalił się ku swoim ludziom, którzy na niego czekali na odległości piętnastu kroków.

— Zostawimy ich w spokoju, chłopcy, Szulak swoje długi zawsze płaci wiernie, a ten młody szlachcic był moim wierzycielem — rzekł, gdy zaczęli pytać o podróżnych. Gwiznął przeraźliwie aż się echo w skałach odezwało; natychmiast na przeciwnym brzegu zjawili się przewoźnicy i przeciągnawszy prom przewieźli na nim cały oddział na drugą stronę rzeki.

Andrzej tymczasem objaśniał panią Halczyńską, jakim sposobem zawarł znajomość z Szulakiem.

— Jednakże ci przewoźnicy muszą być w zмовie z rozbójnikami — zrobiła uwagę Basia. Nie pokazywali się dotąd chociaż ich wołano, a na znak dany przez Szulaka, natychmiast wyszli z ukrycia.

— O tem niema najmniejszej wątpliwości — odrzekł Andrzej — gdyby nie byli w zмовie, nie mogliby się utrzymać na tem stanowisku. Tylko hultaje mogą tu wytrwać.

— Jednakże to straszno z nimi się spotykać — rzekła Basia. — Nieraz muszą wydawać podróżnych rozbójnikom.

— Zdarza się to niekiedy, ale dla nas teraz nie są oni strasznymi.

(d. c. n.)

KON ARABSKI.

Rycina nasza przedstawia konia, którego właściciel zaleca rycerzowi zamierzającemu go nabyć. Pochodzenie jego arabskie wskazują namioty koczownicze Beduinów, rozstawione dokoła. W dawnych czasach słynne były u nas konie, które zakupywano za znaczne ceny u synów pustyni, aby następnie dochowywać się całego ich stada. Wincenty Pol w poemacie swym pod tytułem Mohort, pomiędzy innymi przytacza następujący opis arabskiego konia:

Ze stada Tarnowskich z bachmatów betmańskich

Nie pierś lecz jedwab, pargamin nie skóra,

Zdany do harców tylko arcy pańskich.

Ktoś nie wiedział jaka cnota w rodzie,

Niech go użyje w rycerskiej przygodzie,

Bo gdy chrzest zbroi i trąbkę usłyszysz,

Rozbiegnie nóżdrza i cały aż dyszy.

I znów wzniesie aż w sercu przez siodło

Ktoś krwi panem i co go w bój wiodło.

Płynęliśmy zatem dzień już cały w kierunku południowo-zachodnim, i niebawem Halbran dostał się na linię lodowców, którą wypadło przejść w poprzek. Z wielką uwagą i ostrożnością przesuwać się musiał przez ciasne niby wąwozy, między skupionymi górami, jakkolwiek nie było tam owych brył płaskich lub nieforemnych, które, tworząc chaos nie do opisania, tak niezmiernie utrudniały przejście przez linię zapory lodowej. Tutaj same tylko olbrzymy, lśniące, zda się nowiuteńkie, płynęły wolno i majestatycznie; wysokość ich dochodziła 500 stóp, ciężar zaś mógł wynosić miliony beczek.

Aby uniknąć zetknięcia się z niemi, Jem West na chwilę nie opuszczał pokładu. Dotychczas też wskazówki busoli mogliśmy uważać za zupełnie dokładne, gdyż od bieguny magnetycznego, który odsuwa się od bieguna osi ziemi znacznie ku wschodowi, oddzielało nas jeszcze parę setek mil.

Jednakże, gdy wbrew moim przekonaniom, będącemi wynikiem poważnych naukowych badań, nie ujrzelśmy jeszcze ładu ani śladu, zastanawiałem się nad tem, czy nie należałoby raczej zwrócić się stanowczo ku zachodowi, chociażby to pozabawić nas miało tak ważnego dla świata wypadku dotarcia do punktu, w którym schodzą się wszystkie południki kuli ziemskiej.

Bo w miarę jak upływały godziny z udzielonych mi 48, coraz większe zniechęcenie znowu widocznem było wśród załogi. Jeszcze więc tylko półtorej doby, a stracę wszelkie środki do walki, i odwrót stanie się koniecznym.

Przygnębiające milczenie, z jakim pracowała załoga, przerywały tylko rozkazy porucznika. Mimo wszakże dokładnego i szybkiego wykonywania potrzebnych manewrów, nie było można ustrzedz się niejednokrotnie gwałtownych zderzeń z lodowcami, przy czem spód Halbranu najwięcej był narażonym, o czem świadczyły czarne, długie pasy smółca, widne następnie na bryłach lodowych.

I jakże się tu dziwić, że i najodważniejsi drżeli na samą myśl większego uszkodzenia statku, uszkodzenia, któregooby niechybnem następstwem było zalanie wodą. A jeśliby Halbran uległ tu zniszczeniu, nie pozostałby na pewno z żyjących na nim obecnie ludzi, ani jeden świadek tej katastrofy, gdyż nawet o ratowaniu się na lodowcach nie mogło być mowy, zważywszy strome, nieprzystępne ich brzegi.

Jeżeli wszakże niepokój straszny dręczył nas wszystkich, to biedny Dick Peters całkiem upadł na duchu od chwili, gdy żaglowiec z rozkazu kapitana opuścił dawny kierunek południowy, aby przeciąć linię biegu lodowców.

W godzinach też wypoczynku nie stał metys jak dawniej, oparty o poręcz, wpatrzony w daleką przestrzeń, lecz siadał pod masztem skulony, senny i apatyczny.

— Chciej więc pan zrozumieć, to nie tam, nie tam! — powtarzał z rozpaczą w głosie — nie tam szukać winniśmy Pryma! A ja nie znalazłem i słowa by go uspokoić i pocieszyć.

Około godziny 7-ej wieczorem, podniosła się tak zęsta mgła, iż żegluga i tak już bardzo trudna, stała się prawdziwie niebezpieczną...

Dzień przebytych wzruszeń, nadziei i obaw wyczerpał mię zupełnie; zeszedłem więc do kajuty, gdzie rzuciłem się w ubraniu na łóżko. Pokrzepiający jednak sen, nie skleił moich powiek, nie uciszył rozdrażnienia, jakkolwiek zdawało mi się, iż jakaś ręka żelazna trzyma mię nieruchomo na posłaniu; pół na jawie, pół we śnie umysł mój pracował ciągle.

— Ha! gdybym tak był niezależnym panem Halbranu, gdybym go mógł nabyć teraz choćby kosztem całej mej fortuny, gdyby ci ludzie byli mymi niewolnikami, nie ustąpiłbym, i mimo wszystkiego, dotarłbym tam, tam... gdzie mię ciągnie siła nieprzeparta!..

To znowu brała mię ochota spuszczenia się potajemnie z Petersem do jednej z łodzi, by dopłynąć z prądem do ładu, na którym tamci żyją. I uczyniłem tak, ale oczywiście już we śnie. Było to niby dnia następnego, gdy kapitan wydał stanowczy rozkaz powrotu. W spuszczonej łodzi siedział me-

tys ze mną, i podczas gdy Halbran wracał na północ, prąd unosił nas w przeciwną stronę. Niebawem ciche, czyste morze roztaczało się dokoła, a łódź szła ciągle dalej i dalej... Zatrzymała się wreszcie. To ziemia, ziemia obszerna! Wstępujemy na nią, aż tu nagle podnosi się i sigga pod obłoki olbrzymia postać lodowego sfinksa. Nieustraszony idę śmiało ku niemu. Zadaję mu pytania, a on mi powierza tajemnice stron podbiegunowych. Nagle poczyna się wszystko dziwnie zmieniać jakaś szczególna jasność zapala się na niebie, ziemia drży podemną, rozlega się trzask złowrogi i... Czy to sen jeszcze czy rzeczywistość, lecz zdawało mi się, iż zwykłe kołysanie żaglowca ustało, że jakby zawisł nieruchomo pochyłony ku tyłowi. Niebawem ponowne, silne wstrząśnienia ouciły mię zupełnie i właśnie w chwili, gdy zamierzałem podnieść się z posłania, rozległ się straszliwy, przeciągły łoskot, jakby cały Halbran rozdierany był w kawały, przyczem nadzwyczajną siłą gwałtownego ruchu wyrzucony na podłogę, o mało nie rozbiłem sobie głowy o krawędź stołu.

Gdy, powoli wracając do przytomności, rozejrzałem się po kajucie z kąta w którym leżałem, stwierdziłem przede wszystkim, iż niepodobna mi będzie stanąć na podłodze, cały bowiem statek zostawał w położeniu jakby był zawieszony na jakimś olbrzymim haku.

Czołgając się, dosięgnąłem drzwi, które z trudem otworzyłem właśnie, gdy ponowne nastąpiły wstrząśnienia, poczem okrzyk przerażenia i grozy rozległ się wśród załogi.

Jeszcze raz i drugi drgnął konwulsyjnie Halbran, aż wreszcie stanął zupełnie nieruchomo.

Na lodowcu.

Na czworakach, jak to czynią małe dzieci, dostałem się wreszcie na pokład; Len Guy również w ten sposób opuścił swą kajutę i uczepił się tu złamanego słupka od bandery.

Między wzniesieniem na przodzie statku i trójkątnym masztem, kilka głów w wyrazem nieopisanego przerażenia wychylało się z pod fałd rozpostartego płótna, niby jakiegoś namiotu zburzonego gwałtownym huraganem.

Z przeciwnej strony uczepieni do sznurowej drabiny Dick Peters, Hardie, Marcin Holt i Endirot, zwrócili ku nam osłupiale swe twarze.

Niewątpliwie w tej chwili zarówno Murzyn, jak przyjaciel jego bosman, byliby chętnie odstąpili 50% z obiecanej przeczemnie nagrody.

Jakaś ludzka postać czołgała się ku mnie; poznałem w niej bosmana, położenie żaglowca było takie, iż niepodobieństwem okazało się utrzymanie na nogach w pozycji pionowej. Leżąc wsparty o odrzwia, nie lękałem się zesunąć w głąb pokładu; wyciągnąłem też ramię z pomocą bosmanowi.

— Cóż się to stało? — zapytałem.

— Osiedliśmy na mieliźnie, panie Jeorling.

— Jakto, a więc jesteśmy u brzegów ładu! — krzyknąłem.

— Tymczasem jeszcze góra zastępuje brzegi ładu — odparł ironicznie Hurliguerly — boć ta oczekiwana ziemia, istnieje tylko w idyotycznej głowie Petersa!

— Gadajże jednak, co właściwie zaszło?

— Nadeszła góra wśród mgły, góra, której ominąć nie mogliśmy, dla tej prostej przyczyny, że nie była widzialną.

— Góra lodowa, mówisz bosmanie? — pytałem, nie rozumiejąc nic dotychczas.

— A no tak, lodowiec panie, który właśnie wybrał sobie tę chwilę, by wywinąć koziołka. Podnosząc się napotkał nieszczęściem nasz statek i nalztał go na swój szczyt... I oto wzniesiliśmy się mimowoli przeszło na sto stóp nad poziom morza antarktycznego...

Czyż można wyobrazić sobie okropniejsze zakończenie wyprawy na Halbranie!

Pośród tych ostatecznych krańców świata, jedyny nasz statek, jedyny dla nas środek swobodnego ruchu wyrwy z właściwego sobie żywiołu i uniesiony na taką wyniosłość!

Czyż może być, powtarzam, tragiczniejsze i mniej prawdopodobne, mniej przypuszczalne rozwiązanie?!...

Na zatonięcie w czasie gwałtownej burzy, na zgruchotanie wśród lodowców, na rabunek wreszcie i zniszczenie przez dzikie plemiona, musi być przygotowany każdy okręt, wyruszający w niebezpieczną podróż podbiegunową. Ale los jaki spotkał nas obecnie, przechodzi wszystko, o czem dotychczas kroniki żeglugi morskiej wspominają.

Czy położenie to jest bez wyjścia, czy też środkami którymi rozporządzamy, zdołamy spuścić Halbran znów bezpiecznie na wodę? Na to nie umiałem dać sobie stanowczej odpowiedzi. O tem jednym tylko nie zwątpiłem, że zarówno kapitan jak jego porucznik, skoro minie pierwsza chwila przerażenia, nie zaniebają wszelkich możliwych usiłowań i sposobów do wspólnego naszego ocalenia.

Tymczasem gęsta mgła, jak zasłona z krepy otoczyła cały lodowiec, a z nim i nasz Halbran, tak, iż niepodobieństwem było rozejrzeć się dokładnie w położeniu, bo najbliższe nawet przedmioty występowały niewyraźnie. I w tym półmroku stwierdziłem to jedynie, iż statek uwiązał w wąskiej szparze lodowca, którą prawdopodobnie własnym swym ciężarem wygniótł. O ile wszakże jest tam bezpiecznym, jakiej siły i wytrzymałości jest ta ślnięca, kryształowa masa; czy nie grozi nam obłamanie się lodów i powrotne gwałtowne zsuniecie do morza, co byłoby już bezwątpienia wyrokiem śmierci dla nas wszystkich? Dopiero szczegółowe rozpatrzenie położenia upewnić o tem nas miało.

W kilka minut później cała załoga opuściła Halbran, aby bezpieczniej stanąć na najbliższej płaszczyźnie lodowej. Mgła jednak, która niby ciężki kaptur otaczała statek, nie zniższała się wcale, a była tak gęsta, że słabo tylko przedzierały się przez nią promienie słońca, którego tarcz błyszczała czerwonym światłem. To też o jakie dwaście już kroków nie mogliśmy dojrzeć się wzajemnie, i statek przedstawiał tylko niekształtną jakąś bryłę ciemną na białem tle lodowem.

Aby usunąć obawę, czy który z naszych ludzi nie został w czasie katastrofy wyrzucony do morza, rozkazał kapitan zebrać się wszystkim marynarzom na miejscu, gdzie stałem właśnie z porucznikiem, bosmanem, Hardiem i Marcinem Holtem. I oto na wezwanie Jem Westa każdego po imieniu nie odpowiedziało pięciu, a mianowicie: marynarz Drap, jeden z najstarszych na Halbranie i czterech rekrutów z Falklandów, z których dwóch było Anglików, jeden Amerykanin i jeden krajowiec z Ziemi Ogniowej.

Głośne nawoływania zostały bez odpowiedzi.

A więc aż pięciu odrazu, pięć ofiar ludzkich w tej jednej chwili! Jakże bolesną jest ta strata! A tak szczęśliwie bez żadnego wypadku śmierci jechaliśmy od samych Kerguelen.

Jeszcze wszakże jaśniała nam isierka nadziei, że może w upadku zdołali uczepić się lodowca na niższych jego odłamkach. Prózne jednak były nasze poszukiwania, których nie zaniebaliśmy, skoro tylko mgła nieco się rozwinęła.

(d. c. n.)

Księżę Zulusów. — Śnieg elektryczny. — Hyacenty jako przeszkoda w żegludze.

Podróżnik polski p. Doliwa Dobrowolski, odwiedził niedawno księcia Zulusów, Dinę, więzionego przez Anglików na wyspie św. Heleny i przy pomocy tłumacza, długo z nim rozmawiał. Księżę mieszka w małym, dość zaniebany domku, przyjął go w pokoju, którego jedynym umeblowaniem są dwa krzesła drewniane, jeden fotel na biegunach i mały stolik; na ścianach zawieszono są lance, łuki, torby myśliwskie, posadzka zasłana skórą tygrysią. Księżę powitał podróżnika uściskiem dłoni, wskazał mu miejsce obok siebie na krzesło i zapytał o Europę. Dobrowolski pokazał mu albumy kilku stolic, które wielki zachwyt wzbudziły, a radość Diny była ogromną, gdy mu gość te albumy ofiarował; w zamian otrzymał on od księcia fotografię, przedstawiającą go w europejskim ubraniu, w popielatym cylindrze, z ulubionym kotem u nóg. Dina pismem niewprawnem nakreślił dedykację. Zalił się na swój los ciężki, opowiadał o swej dawnej potędze i bogactwach. Po całogodzinnej rozmowie Dobrowolski pożegnał księcia i podążył do opóźnionego dziś grobu Napoleona I-go, którego ciało, jak wiadomo, przewieziono do Francji, spoczywa obecnie w Paryżu.

Znany w świecie naukowem meteorolog amerykański, pułkownik Finlej, opowiada obecnie o burzy śnieżnej, która go napadła gdy wstępował na szczyt góry Pikes Stead. Nazywa on ją „deszczem chłodnego ognia.” Śnieg był naładowany elektrycznością, każdy płatek spadając, rzucał promienie, dokoła biły nieustannie pioruny. Gdy burza rozszalała się jeszcze bardziej, iskry elektryczne zdawały się wychodzić jakby z brody podróżnika, z jego uszu, nosa, palców, każdy płatek śniegu płonął ognikiem. Był to widok trudny do opisanania. Wiadomo było, że powietrze na znacznych wyżynach przesiąknięte jest elektrycznością, nie widziano wszakże dotąd nigdy podobnego zjawiska.

W Ameryce północnej, na wodach Florydy hyacenty tak się obecnie rozrosły, że stanowią przeszkodę w żegludze. Kwiat ich jest bardzo piękny, a woda zamieniona na miłych przestrzeniach w ogród przedstawia wspaniały widok. Rośliny, nie mając oparcia na dnie rzeki, pływają po jej powierzchni, pędzone przez wiatr i prąd w różne strony. Hyacenty ów wprowadzony został do Florydy przed laty pięciu, przez jednego z miejscowych obywateli, który otrzymał paczkę cebulek z Wenezueli i umieścił je w stawie. W przeciagu niesłychanie krótkiego czasu, kwiaty do tego stopnia wypełniły łożysko stawu, że ten nie mógł służyć do żadnego innego użytku; właściciel kazał tedy staw z nich oczyścić i wrzucić je do rzeki św. Jana, skąd rozprzestrzeniły się po innych wodach, czyniąc wielkie szkody rybołóstwu i żegludze.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Drzewa kalifornijskie (z ryc.) — W starożytnym Rzymie. — W wiejskiej zagrodzie przez Maryę Łopuszańską. — Koń arabski, (z ryc.) — Sfinks lodowy, Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Z dalszego świata. — Dodatek: Orzeł, król ptaków (z ryc.) — Zgodne rodzeństwo, wiersz. — U cioci Polci. — Jagienka przez Z. R. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Poza gniazdem przez Teresę Jadwigę.

WIECZORY RODZINNE



Sęp kondor.

ORZEŁ, KRÓL PTAKÓW.

(Dokończenie).

— A zauważ tylko, jak w całym układzie widoczną jest jego śmiałość i dzikość. Krążą też wśród górali opowieści, że orły, gdy im głód dokuczy, a są one bardzo żarłoczne, nie lękają się zaczepić nawet wołu, i podobno to nie bajka, wieść o porywanych przez orły dzieciach, które one w swych szponach unoszą podobnie, jak młode sarny lub jagnięta, na tak wysokie skały, że już im człowiek wyrwać ich nie zdoła.

— Moja ciotuniu, a czy tak dużego jak ja chłopca porwałby też orzeł?

— Zapewne byłbyś już zbyt ciężkim, aby cię mógł unieść, czytałam jednak niedawno opis wypadku, że chłopiec starszy nawet od ciebie, napadnięty nagle został przez alpejskiego orła i jedynie wyjątkową swą przytomnością uratował swe życie. Orzeł bowiem rzucił się na niego tak niespodzianie i z taką siłą, iż go powalił na ziemię i ciężkimi uderzeniami swych skrzydeł i dzioba doprowadził do zemdlenia. Ból jednak dotkliwy ocucił chłopca niebawem, i podjął on rozpaczliwą walkę z napastnikiem, choć nie miał nic więcej do obrony prócz swych pięści. Zanim też na krzyk jego nadbiegli z pomocą ludzie, miał już zadanych kilka ran w ciele, i zdarła skórę z czaszki.

— Ależ to okropne! Nigdy nie myślałem, że są na świecie tak wielkie i silne ptaki, a do tego jeszcze tak śmiałe!

— Już to na śmiałości im nie zbywa; stają się zaś podobno najwięcej zuchwałe w czasie, gdy muszą nietylko siebie, ale i swoje młode w gnieździe wyżywić. O takiej zuchwałości orła opowiada pewien podróżny ciekawą i oryginalną historię.

— Moja ciotuniu, jak to było, niech mi ciocia powtórzy! — prosił Kazio.

— Jest to nawet trochę zabawne, bo wyobraź sobie, że w pewnej nadmorskiej wiosce w Finlandyi, niedaleko portu Helsingfors, napadł orzeł na leżącą na podwórku świnię. Na kwik jej pospieszył wieśniak i spędził drapieżnika. Ten jednak pochwyił kota i uniósł go na płot. Wieśniak rzucił się na ptaka, chcąc ratować zwierzę, lecz widząc dziki wzrok drapieżnika, uląkł się go i poszedł do domu po fuzyę. Gdy rozszłoszczony ptak po raz trzeci ujrzał człowieka chcącego pozbawić go zdobyczy, puścił kota i wpadł na swego wroga. Dopiero na wrzask świni, kota i człowieka przybiegli sąsiedzi i zabili orła.

— Ach, jakie to śmieszne! A najwięcej rad jestem że dostała się szkaradnemu rabusiowi zasłużona kara! A często też zdarzają się podobne wypadki, czy dużo orłów jest na świecie?

— Właściwych orłów jest kilka odmian, z których wymienię ci jeszcze orła „rybołowa” orła „bielika” i orła zwanego „przednim.” Tępione jednak zawzięcie od dawnych już czasów, obecnie są już bardzo nieliczne. Blisko wszakże spokrewnione z nimi są sępy, jastrzębie i sokoły, również drapieżne i żarłoczne ptaki, a niektóre z nich nie ustępują w wielkości i sile nawet samym orłom. Do takich należy „kondor,” przedstawiony na tej oto rycinie. Jest to wielki sęp, zamieszkujący kraje południowej A-

— Ale on nie ma już tak pięknej postawy, nie jest tak wspaniały i dumny jak orzeł.

— Wygląd jego rzeczywiście mniej jest powabny, zdaje się być ciężkim i niezręcznym, co mu nie przeszkadza jednak być prawdziwie użytecznym na świecie. Nie przeszkadza on bowiem żywych zwierzyt, lecz szuka padliny, czyli martwych już ciał zwierzęcych, które przy upałach, jakie panują w krajach południowych, ulegająby przedktemu rozkładowi, i niezdrowemi wyziewami zanieczyszczałyby powietrze. Gdy więc orla słusznie nazwaćby można sługą śmierci, sęp zasługiwałby na miano sługi życia.

— Ale on ma jakąś wielką kryzę na szyi; czy to jego własne pióra?

— Oczywiście, bo któżby dzikiemu kondorowi taki strój przypinał. Ale nietylko ów siwy, suty kołnierz stanowi oryginalność zewnętrznego wyglądu tego ptaka, bo w zamian naga tylko, pomarszczona różowej barwy skóra, pokrywa jego głowę i szyję, gdy reszta upierzenia jest lśniąco czarna a w skrzydłach lotki biało obrzeżone.

— Jakbym ja chciał cioteczkę widzieć te ptaki prawdziwe, nietylko tak na rycinie!

— Żyjących orłów ani kondorów, niema w Warszawie, brak nam bowiem ogrodu zoologicznego. W tutajszym jednak gabinecie zoologicznym, znajduje się piękny zbiór wypchanych tych ptaków, które też dokładne pojęcie dać mogą o ich prawdziwym wyglądzie.

— To chodźmy tam zaraz, moja ciociu!

— Zaraz nie można, gdyż jest już zapóźno. Jutro wszakże jeśli będzie pogoda, zaprowadzę cię tam niezawodnie.

— Jaka ciocia dobra, jaka kochana! — wołał zadowolony chłopiec, skacząc po pokoju.

Zgodne rodzeństwo.

— Helenko — prosił Gucio — daj mi swą piłeczkę! Wiesz, że nam nią nie wolno bawić się w mieszkaniu, Ja teraz do ogrodu mogę wyjść troszeczkę, A tobie nie potrzebna przy twojem pisaniu.

— Chętnie dam ci ją, Guciu, gdy prosisz tak ładnie, Baw się, ile chcesz tylko, lecz proszę cię o to, Byś, gdy tobie co komu pożyczyć wypadnie, Nie krzywił się, nie dąsał, lecz przystał z ochotą?

— Zgoda! — zawołał Gucio, biegnąc ku piłeczce, A wtem małeńka Zosia podchodzi nieśmiało, Prosiąc — daj mi konika, Guciu, bo laleczce, Koniecznie się na koniu przejechać za chciało.

— Nie, nie dam! to mój konik! — woła Gucio gniewnie, Wyborna sobie zawsze, doprawdy, ta mała! Myślisz, że ja dla ciebie zabawki mam pewnie! Wtem Helenka z wyrzutem na brata spojrzała.

Spuścił oczy, i podał konika dziecinie, Mówiąc: „Weź go, Zosieńko, i wóz lalki swoje, A pamiętaj to zawsze, że w zgodnej rodzinie Każdy powinien mówić: co moje, to twoje!”

J...a.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Już widzę — rzekła Zosia; — rękawy kaftanika tworzą nogi krzesła, a długa torebka oparcie (fig. 17).

— Ale nasze krzesło ma tylko trzy nogi — zawołał Kazio.

— Stoi bardzo dobrze, jeżeli powyginasz nogi troszkę w tył — rzekła Zosia.

— A złożysz przez pół — dodała ciocia — tak, aby oparcie stało prosto.

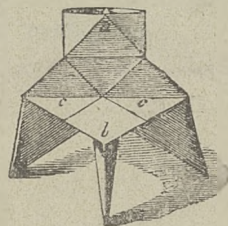


fig. 17.

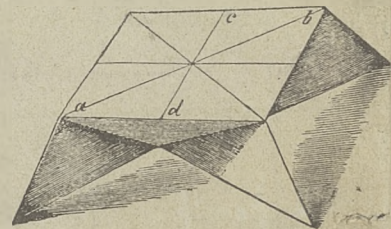


fig. 18.

— Ile nóg musi mieć stół? — spytał Kazio.

— Cztery, naturalnie — rzekł Henryś.

— No, to zdaje mi się, że już wiem, jak go zrobić — zawołał Kazio, i ku wielkiemu zdumieniu dzieci, zaczął rozkładać długą torebkę *a*, która tworzyła oparcie krzesła w ten sam sposób, w jaki inne torebki były rozłożone (fig. 18).

— Doskonale, Kaziu — rzekła ciocia; — stajesz się bardzo zręcznym. Tak się zamienia krzesło na stół.

— Trochę dziwaczny ten stół — rzekł Henryś.

— Czy nie widzisz, że na tym stole leży obrus, który jest tak długi, że zakrywa nogi — rzekła Zosia.

— Moja lalka chce usiąść przy stole — zawołała na głos Irenka.

Dzieci roześmiały się.

— I chce żeby jej coś postawić na tym stole — dodała małeńka.

— Nie jesteś nigdy zadowolona, panno Ireno — rzekł Kazio.

— Myślisz, że ciocia Polcia jest wróżką i może wszystko zrobić — powiedziała Zosia.

Ale ciocia Polcia rzekła spokojnie:

— „Postawić coś na stole,” bardzo dobrze, tylko trzeba wziąć świeży kawałek papieru, kwadratowy tym razem.

— Ciociu, jesteś naprawdę wróżką, kiedy potrafisz wszystko zrobić — zawołał Henryś.

— Weźcie kwadratowy kawałek i załóżcie cztery nogi do środka, jak zrobiliście na początku — mówiła ciocia.

— Przewróćcie na drugą stronę i znów zagnijcie

do środka — mówił Kazio.

— Bardzo dobrze — rzekła ciocia. — W ten sposób na się robota wielu zabawek papierowych, jak zauważyście. Przewróćcie papier.

— I znów mamy cztery torebki — rzekł Henryś.

(d. c. n.)

JAGIENKA

PRZEZ Z. R.

(Dokończenie).

Wreszcie zwrócił się do zgromadzenia:

— Na kolana! do przybytku Matki Najświętszej, za mną! ojcowie, bracia szlachta i rycerze! Już chyba nikt wątpić się nie waży o Bożych co do nas zamiarach: wytrwać mamy, a zwyciężymy. Oto posłannicy cudu — dodał, wskazując na dzieci — cudu, który od tyłu tygodni spełnia się nad nami. Nie my się bronimy, nie nasza siła walczy z przemocą nieprzyjaciela: Najświętsza Panna sama nas broni... osłania nas... osłabia pociski szwedzkie... ocalić chce Swój przybytek. Czyż będzie jeszcze kto śmiał wymówić słowo: odstąpimy go?

Umilkł — spoglądał po zgromadzonych, szukając odpowiedzi w spojrzeniach. Twarze ojców promieniały jakby w zachwycie, rycerze i szlachta uderzali po szablach.

— Bronić, bronić będziemy świętego Jej przybytku do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchnienia.

— I obronimy! — zakończył ksiądz przeor. Ona sama za nas pogromi bluźnierców Imienia Jej świętego, a za nami pójdzie cała Rzeczpospolita, powstanie i wypędzi ze swych granic, co ją gnębi i depce jej ołtarze — dodał z mocą, wyższą siłą, w przeczuciu natchniony.

Zwrócił się do dzieci, zrobił znak krzyża świętego nad ich głowami, one klęcząc obejmowały stopy jego i tuliły się do jasnej szaty zakonnika, jakby pod skrzydła anioła.

— Niech błogosławieństwo Boże będzie z wami, zwiastunami cudu... położył ręce na jasnych główkach i modlił się.

A w zgromadzeniu, uczyniła się cisza, jak w kościele.

* * *

Tu koniec przygód Jagienki. Czytelnicy nasi wiedzą już z historii, jak się skończyło oblężenie Częstochowy. Z wielkim wstydem odstąpić musiał Müller, nic nie wskórawszy. W sam dzień Bożego Narodzenia, w nocy, cicho, bez trąb i kotłów, któremi przybycie swoje oznajmiał, uszedł jak złoczyńca, obawiający się pościgu, Rano, gdy rozedniało, nie było już pod Jasną Górą ani śladu Szwedów, którzy tam jeszcze obozowali w wieczór wigilijny. Radość, jaka zapanała w Częstochowie, odbiła się echem w całym kraju, ufność wstąpiła we wszystkie serca, wiara, że Częstochowa się obroniła, cała Rzeczpospolita obronić się miała.

I obroniła się.

Zawiązano konfederację tyszowiecką w tym samym roku, 1655. Konfederacja, był to taki związek, zawarty w celu, iżby wszyscy bez wyjątku wieku, stanu, zajęcia — to jest, szlachta, mieszczenie, chłopci, kto tylko broń udźwignąć może — powstali przeciwko Szwedom i gromili ich. Owe regimienta polskie, które dotąd trzymały ze Szwedem, powróciły na stronę Jana Kazimierza, łączyły się z konfederacją tyszowiecką, nazwaną tak od miasta Tyszowiec, w którym ten związek podpisanym został. Król powrócił ze Szląska, a powrót jego równał się tryumfalnemu pochodowi, tak był witany z radością, z uniesieniem, ze szczęściem, przeprowadzany nietylko przez wojsko i rycerzy, ale przez lud od roli. Najpierwej górale, w spiskich górach, przez które obrał król powrotną drogę, pilnowali wszelkich niebezpiecznych przepraw, a nawet odwagą swoją kilkakroć osłonili orszak królewski, przed oddziałami szwedzkimi, uwijającemi się w tamtych stronach. Dalej, jechał król ku Lwowowi, a wszędzie był witany przez lud gromadzący się po wsiach i drogach, gotowy w każdej chwili dać życie swoje za króla swego i pana.

Serce też jego ojcowskie, rozrzuwione temi dowodami przywiązania, wezbrało wdzięcznością: przybywszy do Lwowa, złożył w katedrze uroczyste śluby, jako tym najmłodszym dzieciom królestwa swego, tym „oraczom ziemi” ulży losu, weźmie ich w szczególną, ojcowską swoją pieczę!

Skorzystał potem z najpiękniejszego przywileju królewskiego, z przywileju przebaczenia. Przebaczył wszystkim czasowo zbłąkanym, obalamuconym, przypuścił ich do łask swoich!

* * *

Jeżeli wam będzie miło usłyszeć coś jeszcze o Jagience, to jeszcze nadmienić mogę, że gdy tylko można było przedsięwziąć podróż z małemi dziećmi, pani miecznikowa powróciła do Murowanej Woli, której w onczas, Szwedzi nie zdołali spalić ani zrabować, chociaż najechali ją w tym zamiarze, ponieważ owa burza i ulewa, która spotkała wtedy uciekających w lesie, nie dopuściła rozszerzenia się ognia, a gdy jeszcze piorun padł pomiędzy nich i poranił kilku, rozpierzchł się cały oddział, i powrócić już nie śmiał. Pani miecznikowa zastała dom swój w całości. Zrobiła sobie votum, każdego roku przywieźć Jagienkę do Częstochowy, do stóp Najświętszej Panny. Ksiądz przeor Kordecki, witał ją zawsze z radością, pomny, że to ona była zwiastunką cudu, który wlać ufność w serca rycerzy.

Pani miecznikowa wstępowała za każdym razem do poczciwych ludzi, Andrzeja i jego żony, którzy taką opieką otoczyli niegdyś jej dziecko zbłąkane i nieszczęśliwe!

Radość bywała wtedy wielka, w chacie wszyscy cisnęli się, by choć popatrzeć na „swoją panienkę” i nigdy nie mówiono o niej inaczej tylko, nasza panienka, a nawet później — w lat dziesięć, po wyżej opisanych wypadkach, gdy Jagienka wychodziła za mąż, pojechała z matką umyślnie do tych zacnych ludzi, by prosić ich o błogosławieństwo.

Juraś wyrósł na dzielnego, jak jego ojciec rycerza;

